

ARTUR LAISEN

STUDNIA  
ZAGUBIONYCH  
ANIOŁÓW



GENIUS  
CREATIONS

# Artur Laisen „Studnia zagubionych aniołów”.

## Fragment II

MAT

*Kolejny fragment książki Artura Laisena „Studnia zagubionych aniołów”, która ukaże się na w grudniu nakładem wydawnictwa Genius Creations.*

### Opowieść Astronoma

Nie pożądam towarzystwa ludzi, choć zajmują mnie ich historie – oni sami poza ramą opowieści wcześniej czy później przestają być interesujący. Niestety, nie sposób całkiem się od nich odgradzić, o czym przekonałem się tamtej cichej nocy, gdy przed stopniami prowadzącymi na wyższe poziomy mojej wieży stało czterech mężczyzn.

Nie jest dla mnie tajemnicą, że ludzie nie kierują się w gruncie rzeczy żadnymi wytłumaczalnymi motywami, stąd też zazwyczaj nie zaskakują mnie nawet najdziwniejsze z ich postępów. Jednak tym razem zdziwiłem się, widząc tych czterech, stojących spokojnie obok siebie. Wiedziałem, rzecz jasna, co mogło ich połączyć - istniała tylko jedna taka rzecz. Ja zaś, choć nie jestem prawdziwym astronomem, obserwuję czasem gwiazdy i potrafię wysnuwać oczywiste wnioski. Nie miałem jednak pojęcia, czemu postanowili przyjść z tym akurat do mnie.

– Czemu nachodzicie mnie bez zapowiedzi o tak późnej porze? – zapytałem. – Czyż nie wiecie, że nie interesują mnie wasze błahe ziemskie sprawy?

Czcigodny Malakiasz otworzył usta, ale to młody Sarot odezwał się pierwszy.

– Uważaj, abyś nie przesadził, Istharonie. Pozwolono ci objąć w posiadanie to miejsce i zapewne były ku temu ważne powody – tutaj w jego głosie pojawiło się zamierzone wahanie – lecz nie zapominaj, komu to zawdzięczasz. Tak jak my wszyscy jesteś sługą króla i Hamanu – zająknął się nieco, widząc gniewne spojrzenie manilskiego ambasadora, lecz nie cofnął swych słów. – Oraz Stwórcy – dodał wyzywająco na przekór złym błyskom w oczach tamtego.

Spojrzałem na niego z ironicznym uśmiechem. Wszyscy młodzi adepci magii i astrologii z zazdrością spoglądają na moją wieżę, myśląc o cudach, jakich dokonaliby, gdyby jej wnętrze stało przed nimi otworem. Rzadko jednak z własnej woli decydują się przyjść tutaj ponownie, gdy w końcu pozwalają im obejrzeć. Tak samo zachowywał się Malakiasz, gdy odwiedził mnie po raz pierwszy czterdzieści lat wcześniej. To, czym się zajmuję, nie jest w stanie w niczym dopomóc takim jak oni.

Wreszcie Sarot spuścił wzrok, zmieszany. Prawdopodobnie zaczynał żałować, że już na wstępie uczynił nieodgadnionego Isthariona swym śmiertelnym wrogiem, i to w dodatku mając za plecami manilskiego ambasadora. Oczywiście mylił się – nie byłby w stanie zrobić nic, by zmienić moją obojętność względem niego. Cóż, jestem przekonany, że w każdym z możliwych światów ambitni młodzi magowie potrafią sądzić innych wyłącznie podług siebie.

Malakiasz uśmiechnął się pod nosem – jest nieco mniejszym głupcem niż większość śmiertelników. Rami patrzył na mnie z gniewnym wyczekiwaniem. Oczy Talleda były nieprzeniknione i po raz kolejny zdałem sobie sprawę, że królewski hazzi budzi we mnie niepokój – on jeden spośród wszystkich ludzi.

Wyrwałem się z zamyślenia.

– A więc, skoro nie mogę się was pozbyć, dostojni goście, zechciejcie towarzyszyć mi na najwyższy taras, gdzie skosztujecie wina z Faraki i wyjaśnicie mi, jaki jest cel tej niespodziewanej wizyty.

Sarot chciał coś jeszcze powiedzieć, ale Malakiasz uprzejmie skinął głową, spoglądając na młodszego kolegę z rozbawieniem.

Poprowadziłem ich środkowymi schodami, choć najkrótsza droga prowadziła przez zachodnie, obramowujące wieżę od zewnątrz; ja jednak pragnąłem pokazać Sarotowi Lustro i poddać go próbie,

o której niewątpliwie marzył. Nie sądźcie, iż powodowała mną złośliwość - po prostu wolałem, by jak najszybciej pozbył się pewnych złudzeń i w przyszłości zajął się realizacją własnych nedorzecznych planów, nie zakłócając już więcej mego spokoju.

Wspinaliśmy się spiralnymi stopniami wzdłuż szklanych ścian, rozświetlonych delikatnym pomarańczowym blaskiem. W mojej wieży, niezależnie od pory dnia, ze ścian nieprzerwanie sączy się ta sama łagodna poświata. Oprócz Malakiasza wszyscy byli tu po raz pierwszy, ale to właśnie Rami nie mógł powstrzymać się przed zwróceniem uwagi na to zjawisko.

– Nie wiem, ambasadorze, skąd bierze się ten blask – wyjaśniłem uprzejmie, patrząc, jak z niedowierzaniem gładzi dłonią wypolerowaną powierzchnię. – Być może kryształ filtrują i magazynują światło, aby później uwalniać je stopniowo, w tej właśnie postaci pozwalając mu przenikać do środka. Być może promienie słońca przebywają bardzo długą drogę poprzez szklany labirynt, nim z powrotem wydostaną się na zewnątrz. Kto wie, co znajduje się tam naprawdę? Rami cofnął rękę, wystraszony.

– Być może – kontynuowałem – światło, które rozjaśnia wnętrze wieży, nie pochodzi od naszego słońca, lecz przybywa z innego czasu i przestrzeni. Być może – zwróciłem się teraz do młodego maga, wyraźnie zafascynowanego moją przemową – gdybyś wystarczająco długo medytował, Sarocie, zdołałbyś ujrzeć jego źródło, zobaczyłbyś, jak wyglądało nasze słońce przed tysiącami lat, gdy na świecie wciąż jeszcze przebywali Jeźdźcy Światła. Może to właśnie oni zaklęli w kryształach nieskazony blask pierwotnego świata?

Sarot stał zasłuchany, na śmierć zapomniawszy o swojej niechęci do mnie. Jego oczy coraz bardziej jaśniały fascynacją. Jeszcze chwila i rzeczywiście pozostałby tutaj, z czołem przyciśniętym do ściany, porzucając wszelkie ambitne plany. Rami gładko przełknął "Jeźdźców Światła", nawet się przy nich rytualnie nie skrzywiwszy, i patrzył przed siebie z wyraźnym niepokojem.

– Przecież ty sam nigdy nie wierzyłeś w istnienie Stwórcy ani Jeźdźców Złocistych Rydwanów. Żartujesz z nas, mistrzu Istarionie. – Spokojny głos Talleda sprawił, że czar prysnął.

– Być może. Nie sądzę jednak, by którykolwiek z was był w stanie wymyślić mądrzejszą teorię, wyjaśniającą to zjawisko, a mojej przyjemnie się słucha, nieprawdaż, Sarocie? O, jesteśmy już na właściwym poziomie. – Wskazałem nieregularny otwór w gładkiej powierzchni szybu. – Wyżej jest tylko jedna kondygnacja, na której znajduje się Teleskop.

Przepuściłem Sarota, Ramiego i Talleda – młody mag i manilski ambasador spoglądali na mnie (i na siebie nawzajem) z wściekłością, hazzi lekko się uśmiechał.

– Powiedz mi, Istarionie – zapytał Malakiasz, oglądając się po raz ostatni za siebie – czy nigdy nie próbowałeś zbadać, skąd naprawdę pochodzi to światło? Nigdy cię to nie intrygowało?

– Drogi Malakiaszu – objąłem go ramieniem, delikatnie prowadząc w ślad za pozostałymi. – Czy nigdy nie intrygowało cię, że po każdej nocy następuje dzień, świat otacza Płaszcz, trawa jest zielona, zaś dobre ferańskie wino smakuje jak krew?

Skręciliśmy w prawo, w murowany korytarz, który wkomponowano z wielkim trudem, tak jak wszystkie inne dodatkowe elementy, w pierwotną, starożytną konstrukcję wieży. Widziałem, jak Rami odetchnął z ulgą na widok pochodni, palących się u sklepienia.

Po pięćdziesięciu krokach korytarz się rozwidłał. Droga w lewo prowadziła w ciepły mrok wiosennej nocy, na taras. Droga w prawo w zimną, odstręczającą ciemność krętego tunelu. Idący na przedzie Sarot skierował się w lewo, ale ja zatrzymałem go, kładąc dłoń na ramieniu.

– Poczekaj, magu. Chcę ci coś pokazać.

Sarot wzdrygnął się pod moim dotknięciem, z trudem skrywając niepokój, który dostrzegłem także w oczach Malakiasza. Rami obojętnie wzruszył ramionami, oblicze Talleda znów było nieprzeniknione.

– Zaczekajcie na nas na tarasie – poprosiłem. – Służący podadzą wam wino.

Popchnąłem przed siebie młodego maga, unikając spojrzenia Malakiasza, w którym tym razem zawarte było ostrzeżenie.

Wkroczyliśmy w ciemność.

– Wiesz, dokąd cię prowadzę?

Nie widziałem w mroku jego twarzy, ale usłyszałem, jak wciąga głęboko powietrze.

– Tak, tak, nie mylisz się – odpowiedziałem za niego – Chcę pokazać ci rzecz, którą wy, magowie, nazywacie Lustrem Prawdy, Zwierciadłem Przeznaczenia i tak dalej. Zaraz się przekonasz, ile warte są te wszystkie niedorzeczne nazwy.

– Czemu? – W głosie mego gościa wyczułem zmieszanie.

– Przecież chciałeś zobaczyć to miejsce. Wszyscy tego chcecie. Wcześniej czy później powróciłbyś tutaj, używając siły lub podstęp. A ja wolę już mieć to za sobą.

Wyciągnąłem rękę przed siebie, tak by wyczuć kolejny zakręt korytarza.

– Czy nie zabłądzimy? – zapytał Sarot. W jego tonie nie było już teraz niechęci – z oponenta, któremu można rzucić wyzwanie, niespodziewanie stałem się przewodnikiem po całkiem nieznanym mu sferze.

– Nie, tutaj nie ma żadnych rozgałęzień, zaś korytarz wcale nie jest długi. A ciemność... Ciemność jest potrzebna, sam zaraz się o tym przekonasz.

Rzadko tam zaglądam, dla mnie również, rzecz jasna, nie jest to przyjemnym doświadczeniem, ale nawet gdybym codziennie odwiedzał to miejsce, widok Lustra zawsze zaskakiwałby mnie tak samo jak za pierwszym razem.

Nie potrafię Ci tego opisać – jest tylko Lustrum i ciemność. Bądź też raczej samo tylko Lustrum. Reszta należy do ciemności, dopóki nie pojawi się odbita w zwierciadle.

Tak było i teraz – ja, Sarot i cały Wszechświat nie istnieliśmy. Byliśmy częścią ciemności, czymś mniej niż próżnią. Istniało tylko Lustrum.

– Podejdź bliżej – zachęciłem maga szeptem. – Nic nie zobaczysz, jeśli nie podejdziesz bliżej.

Z mroku nie dobiegł żaden dźwięk, ale wiedziałem, że się waha.

– Co jest dalej? – zapytał po chwili.

– Kolejne zwierciadło. Cała galeria. Wiadomo, że kończy się po przeciwnej stronie wieży. Tamto lustro wygląda całkiem zwyczajnie i oczywiście nie można wejść do środka. Kto wie, być może da się wyjść. O ile mi wiadomo, nikomu się to do tej pory nie udało. Natomiast to przejście działa w obie strony. Można zawrócić. Przynajmniej do pewnego momentu.

– A ty, Istharonie... Próbowaleś?

– Nie. Od razu się cofnąłem. Po cóż miałbym iść dalej? Lustra nie pokazałyby mi niczego, czego sam bym o sobie nie wiedział. Doskonale wiem, iż jestem tylko grą własnych złudzeń i nie muszę ginąć, by się o tym przekonywać.

Znów nabrał powietrza.

– Nie jesteście złudzeniami. Zostaliśmy stworzeni na podobieństwo Najwyższego.

– W istocie? Być może, ale w niczym nie poprawia to twoich szans. Przekonaj się, czy zdołasz stawić czoła lustrum. Ale nie zapędzaj się zbyt daleko. Nie sądzę, żebyś mógł znieść to, czego się o sobie dowiesz. To będzie śmierć Sarota, tego, którego, jak ci się wydaje, znasz tak dobrze. Jesteśmy tylko jedną z wielu masek nicości. Pamiętaj o tym. Jeśli coś ci się stanie, Malakiasz i pozostali będą mieli do mnie pretensje, bo najwyraźniej jesteś im do czegoś potrzebny, skoro cię tu przyprowadzili.

– Podobno ten, kto przejdzie, otrzyma niezwykłą moc...

– Tak twierdzi pospólstwo. Nawet gdyby tobie się udało, nie przypuszczam, byś w ten sposób cokolwiek zyskał, utracisz natomiast złudzenia co do własnej osoby. Nie należysz do ludzi, którzy potrafiliby żyć bez nich. Sam zadecyduj, czy warto ryzykować.

Sarot westchnął i ruszył w stronę Lustra.

\* \* \*

– Oszczędźcie mi, proszę, dalszych komplementów co do jakości mojego wina. Gdyby nie było doskonałe, nigdy bym go wam nie podał. Powiedzcie w końcu, o najczcigodniejsi z mędrców, co naprawdę was do mnie sprowadza.

Postanowiłem nie ułatwiać im sprawy wyjawianiem swoich domysłów. Zawsze interesuje mnie nie tylko treść, ale i forma opowieści. Okoliczności narzucają treść, ale formę w pewnym stopniu możemy kształtować sami.

Porozumieli się szybko spojrzeniami – astrolog, hazzi i ambasador. Sarot siedział na swoim miejscu zapatrzony w kielich. Zgodnie z moimi przypuszczeniami, po bardzo krótkiej chwili przerażony wypadł z Lustra i musiałem przytrzymać go siłą, by nie rozbił sobie głowy o ścianę korytarza. Usiłowałem wyczytać coś z jego oblicza, ale na to było jeszcze za wcześnie. Wciąż był zbyt wstrząśnięty. Przeczuwałem jednak, iż prawdopodobnie będzie mnie od tej pory nienawidził. Nie przeszkadzało mi to, byleby tylko unikał Wieży.

Malakiasz wskazał palcem przymocowaną do balustrady tarasu lunetę.

– Wiem, że umiesz z tego korzystać. Tym razem nie naciągniesz mnie na opowieść. Musiałeś domyślić się, że chodzi nam o Mroczną Gwiazdę. Ona powraca, Istarionie.

Bez wątplenia, gdy królewski astrolog wypowiadał te słowa, nie powiało grozą. Noc łagodnie otulała miasto ciepłym oddechem. Wszędzie wokół panowała cisza, a ja umiem wyczuwać nastrój chwili i wiedziałem, że jest to cisza odpoczynku, nie zaś cisza przed burzą. Być może już wtedy powinna mi być przyjąć do głowy zaskakująca myśl, która jednak pojawiła się znacznie później – o wiele za późno, by mogło to mieć jakiegokolwiek znaczenie. Wówczas pomyślałem jedynie, iż nie ma nic bardziej złudnego niżli nastrój chwili.

Popatrzyłem na niebo, na gwiazdozbiór Jeźdźca.

– Nie ma pewności, że to właśnie ona. Jest wiele podobnych obiektów.

Malakiasz roześmiał się skrzekliwie.

– Sam w to nie wierzysz, Istarionie. To nie jest zwykła kometa. Zachowuje się inaczej. Wszystkie przepowiednie i obliczenia się zgadzają.

– Jeśli nawet – zauważyłem – to wcale nie musi z tego cokolwiek wynikać. Czemuż mielibyśmy się bać przybysza z Zewnętrznej Przestrzeni? Chroni nas przecież to, co potocznie nazywają Płaszczem Ziemi.

– Słońce to życie, gwiazdy to śmierć – szorstkie słowa Ramiego rozdarły spokojną noc. Jego naznaczona długą blizną twarz zastygła na moment w ponurą maskę. – Nie wierzysz w legendy sprzed stuleci, Istarionie? Będziesz im zaprzeczał nawet wtedy, gdy przyniosą ci zagładę?

Westchnąłem i pokręciłem głową.

– Jakie legendy? Osobiście znam przynajmniej dwadzieścia różnych wersji historii o Wojnie Mrocznej Gwiazdy. Nawet wy, Manilowie, macie przynajmniej pięć i, o ile mi wiadomo, są ze sobą w wielu punktach sprzeczne.

– Ale – zauważył Malakiasz – wszystkie opowiadają o inwazji spoza naszego świata...

– I o Mocach Ziemi, które stawiały jej opór – dodał z naciskiem Rami.

– Nawet jeśli tak właśnie było, czemu sądzicie, iż może się to powtórzyć? Jeśli istotnie coś się wydarzyło, było to dawno temu. Według większości znanych legend demon został unicestwiony. Zaś kometa mogła być tylko symbolem, przypadkowym zwiastunem rzeczywistych wypadków...

– Widziałeś stopy Shar-Shegi? – Manil zaśmiał się nieprzyjemnie. – Ja je widziałem. I bałbym się zbliżyć ponownie nawet na sto mil do tego miejsca. Ziemia nosi ślady katastrofy, która nie powinna się była zdarzyć. A jednak kiedyś Płaszcz Ziemi został rozerwany. A jeśli raz tak się stało, może i drugi. Demon został pokonany, zgoda. Nie gawędzilibyśmy sobie tutaj dziś przy winie, gdyby stało się inaczej. Ale nie ma żadnej pewności, że nie pojawi się na nowo, gdy powróci źródło jego mocy.

– Studiowałem pilnie u boku Malakiasza. – Ton głosu Sarota był nieoczekiwanie zimny i spokojny. Pomyślałem, że go nie doceniłem. – Wszystko wskazuje na to, że Noc znów może rzucić wyzwanie. Obowiązkiem nałożonym nam przez Stwórcę jest temu zapobiec. Dzień musi zwyciężyć.

Podniósł na mnie wzrok. W jego oczach rozbłysła siła i upór. Zaszła w nim wyraźna zmiana, która wzbudziła mój niepokój.

Roześmiałem się ironicznie.

– I dlatego przybyłeś tu do mnie pod osłoną nocy, a nie w blasku dnia, który tak kochasz? Dla towarzystwa zaś przyprowadziłeś ze sobą – bez obrazy, dostoyny Rami – jednego z Manilów, który z pewnością nie podziela twoich poglądów w kwestii obowiązków nałożonych nam przez Stwórcę? Uśmiechnąłem się w duchu, widząc, że w jego spojrzeniu nie ma ani śladu wahania – zupełnie jakby próba z Lustrem zakończyła się zwycięstwem, a nie porażką.

– To szczególna sytuacja i wymaga szczególnych środków.

– Malakiaszu? – Obróciłem się w stronę starego astrologa.

Ten, dla odmiany, był pełen wątpliwości.

– Nie możemy wiedzieć na pewno, iż Stwórca rzeczywiście istnieje – powiedział, starannie dobierając słowa, tak, by nie obrazić za bardzo nikogo z obecnych, co, trzeba przyznać, było zadaniem raczej karkołomnym. – Możemy jednak mieć nadzieję, iż rzeczywiście tak jest i że, wbrew twierdzeniom niektórych, nie zapomniał całkiem o naszym świecie. Większość z nas tutaj zebranych wierzy, że walka sił światła z siłami ciemności, jakkolwiek byśmy je rozumieli, nadal trwa. Wydaje się, że przed nami wszystkimi stało teraz nowe zadanie...

Patrzyłem na nich w zamyśleniu i przez głowę przebiegł mi stary aforyzm, przypisywany mistrzowi Ih'ramowi – „bądź czujny, gdy wypowiedane są wojny, lecz stokroć czujniejszy, gdy zawierane są sojusze”. Wiele dni później przypomniałem sobie tamtą chwilę i tamte słowa.

– A ty, dostojny Talledzie – zwróciłem się do hazziego. – Czy wiesz, że to właśnie twoja obecność zaskakuje mnie tutaj najbardziej? Tobie obca jest przecież religia Ramiego, nie podzielasz też wiary Malakiasza i Sarota. Tak, oczywiście, wszyscy znamy twą mądrość i szlachetność – dlatego właśnie zostałeś hazzim na dworze naszego władcy. Podobno zawsze kierujesz się racjami rozumu i wierzysz jedynie w to, czego można dotknąć. Czemu więc tak się przejąłeś starożytnymi legendami i przepowiedniami astrologów?

– Legendy i przepowiednie nie interesują mnie dla nich samych – odparł bez zająknięcia – o ile nie są odbiciem prawdziwych zdarzeń, a sądzę, że tak właśnie jest w tym przypadku. Zagrożenie, które nadchodzi, jest jak najbardziej realne. Co więcej, dokładnie wiemy, na czym polega. Czyżbyś zapomniał, mędrco, o Północnym Bastionie? To nie legenda, to rzeczywistość. To miejsce już od setek lat pozostaje wyzwaniem. Nikt z nas nie jest w stanie się do niego dostać. To widomy znak ingerencji obcego świata w nasz własny.

– Wyjawcie mi więc – rozłożyłem bezradnie ramiona – na czym właściwie polega groźba i jak postanowiliście jej przeciwdziałać. Nade wszystko zaś – czemu przyszliście z tym akurat do mnie... Cała czwórka porozumiała się wzrokiem, po czym znów przemówił Malakiasz.

– Północny Bastion. Jeśli demon istotnie powróci, nie możemy dopuścić, by źródło jego mocy spokojnie na niego czekało. Musimy je unieszkodliwić zanim to nastąpi.

– Najpierw musielibyście się tam dostać – zauważyłem uprzejmie. – A jak stwierdził właśnie dostojny Talled, spokoju fortecy nie jest w stanie naruszyć żadna z istot naszego świata. Z pewnością lepiej ode mnie znacie relacje rozmaitych magów, mędrców i podróżników, którzy na przestrzeni wieków próbowali tego dokonać. Te z nich, które opowiadają o rozmaitych cudach i okropnościach, bywają niekiedy nawet interesujące, lecz są również straszliwie niekonsekwentne. Inne z kolei są tak suche, rzeczowe i nudne, że, podejrzewam, zbliżają się do rzeczywistości. Tak czy inaczej, nawet jeśli Północny Bastion istnieje, to nikomu nie udało się jak dotąd do niego wejść. Śmiem przypuszczać, że tak już pozostanie. „Nikt spośród nas, zrodzonych pod niebem tej ziemi...”, że zacytuję, jeśli się nie mylę, mistrza Kesaia.

– Północny Bastion istnieje – odparł cicho Talled. – I jego twórczyni dobrze zabezpieczyła go przed intruzami, tak by wkroczyć do niego mogła jedynie ona sama... lub jej spadkobiercy. A ona była...

– Demonem przybyłym z zewnątrz – warknął Sarot, wyraźnie już zniecierpliwiony – i zabezpieczyła swą siedzibę przed nami, mieszkańcami tego świata. I tu właśnie znajduje się furtka! Możemy przechytryć demona! Czy naprawdę nie widzisz, do czego zmierzamy, Istarionie?

– Widzę doskonale – westchnąłem ciężko – tym bardziej więc nie zamierzam niczego wam ułatwiać. Malakiasz i Rami uśmiechnęli się nieznacznie, hazzi zaś uniósł uspokajająco rękę.

– Wierzymy, że istnieje sposób, aby otworzyć bramy Północnego Bastionu. Potrzebujemy przybysza z zewnątrz, tak jak przybyszem z zewnątrz była Mroczna Gwiazda. Kogoś, czyj wzrok przeniknie iluzję, wobec której nasz jest całkiem bezsilny. I tutaj pojawia się ty, Astronomie. Tylko ty jeden bowiem jesteś w stanie...

– Otworzyć przejście pomiędzy światami – dokończyłem z rezygnacją.

– Zrobisz to? – spytał Malakiasz. – Otworzysz tunel i pomożesz nam sprowadzić odpowiednią osobę?

Przez chwilę milczałem. Zapytasz, daleki słuchaczu, czy ogarnęły mnie wątpliwości? O tak, z pewnością plan moich gości zawierał w sobie liczne luki i niedopowiedzenia... Lecz czy nie tak właśnie jest w prawdziwym życiu? Wszak słuszne decyzje stają się takimi jedynie w wyniku nieodgadnionych kaprysów losu, nie zaś z powodu swej rzekomej słuszności. Tak czy inaczej ci, którzy tak jak ja snują opowieści, nie powinni oceniać zamierzeń tych, którzy – powodowani odwagą czy też naiwnością – zmagają się z życiem.

– Istharonie... – powtórzył Malakiasz.

Każdy przywilej ma swą cenę i tylko głupiec sądzi, iż uda mu się uniknąć zapłacenia jej... w taki czy inny sposób.

– Dobrze – rzekłem – umożliwię wam zrobienie tego, co zamierzacie uczynić. Nie mnie jednak oceniać sens waszego przedsięwzięcia.

Malakiasz odetchnął z ulgą, na twarz Sarota powróciła arogancja. Zamyślony Rami bił się z myślami, zaś spojrzenie Talleda jak zwykle było nieprzeniknione.

Ciekawi cię, o nieznajomy, czy już wtedy snułem podejrzenia? Czy choćby przez mgnienie oka przeczułem istnienie straszliwej prawdy, skrytej w pajęczynie słów? O, nieznajomy! Jak pisał mistrz Ih'ram, każde pytanie zawiera w sobie odpowiedź.

Lecz któż z nas potrafi na czas zadać właściwe pytanie?

### **Ciemne ziarna**

*Biegł długą, ciemną doliną. Śnieg skrzypiał mu pod stopami. Było przeraźliwie zimno, lecz jego własne serce emanowało jeszcze większym chłodem. Czy to szkielety wieżowców majaczyły w oddali? Czy też może okaleczone zbocza gór? Spalone kikuty drzew? Daleko przed sobą dostrzegł polanę, na której środku pojawił się znajomy, niewyraźny kształt...*

*Szedł pogrążoną w mroku klatką schodową. Przyjęcie nagle zniknęło. Świat wokół stał się cichy i martwy. Czy to naprawdę jemu wydawało się kiedyś, że lubi samotność i ciszę? Gdzie podziały się roześmiane twarze przyjaciół? Oddałby teraz wszystko, by choć przez moment ujrzeć oblicza swych wrogów. Czemu znalazł się zupełnie sam w tym ciemnym, przerażającym miejscu? Chciał krzyknąć, biec, nawet umrzeć, byle tylko uciec od tego strachu.*

*Wyszedł z klatki schodowej na zewnątrz, choć wiedział, co będzie tam na niego czekało. Było nieuchronne – jak zawsze w tym śnie. Śnił o tym już dziesiątki razy.*

*Zamiast na podwórku przed swoim blokiem, znalazł się w samym środku pogrążonego w ciemności lasu. W panice odwrócił się, rozpaczliwie pragnąc wrócić do bezpiecznego mieszkania lub w jakiegokolwiek inne miejsce, ukryć się pośród gwaru rozmów, pośród hałasu warszawskiej ulicy, pośród monotonnego buczenia telewizora. Ale do tamtego świata nie było już powrotu; zewsząd otaczały go nagie pnie potężnych drzew.*

*Daleko przed sobą dostrzegł polanę. Jak zahipnotyzowany ruszył w jej kierunku, nie będąc w stanie przeciwstawić się tajemniczej sile, która go tam wzywała. Polana była coraz bliżej. Na jej środku pojawił się niewyraźny kształt – dom ciemności, siedlisko upiorów, chata wiedzy?*

*– Nie – zawołał ze szlochem. – Nie chcę tam iść! Nie chcę! Pragnę się obudzić!*

*I obudził się z krzykiem, tak jak dziesiątki razy wcześniej.*

\* \* \*

Zza zakrętu niespodziewanie wypadła furgonetka i Joanna ostro szarpnęła kierownicą. Zaklęła pod nosem, gdy jej wiekowe seicento o mało nie wylądowało na poboczu.

– Aaaaa! Aśka! – zawyła przerażona Kinga. – Wolniej... Przecież to tylko godzina drogi. Nie musimy się tak spieszyć.

– Wcale się nie spieszymy – burknęła Joanna, ale nieco zwolniła, bardziej zresztą w trosce o silnik, który właśnie znowu zaczął rzeźzić, niż o samopoczucie kuzynki. – Poza tym to tamten kretyn wjechał mi na pas...

– Dlaczego zawsze musisz tak pędzić? – mruknęła Kinga, nieusatisfakcjonowana. – Zwłaszcza wtedy,

kiedy cię coś wkurzy...

– Dzięki temu łatwiej jest odreagować. Wiesz, że prowadzenie samochodu mnie uspokaja.

– Ale nie tych, którzy z tobą jadą. Kłopoty w pracy? Znowu chcą cię wyrzucić z redakcji?

– Nie – westchnęła Joanna. – Nie tym razem. Ale za to chyba jednak nie znajdzie się dla mnie miejsce na liście wyborczej. Kumple Karkoszki pożalili się prezesowi, że tyle jest przecież przypadków nepotyzmu wśród naszych przeciwników politycznych, a ja akurat uwzięłam się na tego biedaka... No i tak go ponoć urobili, że zamiast pogonić kota Karkoszce, postanowił umyć ręce.

– No i co? – spytała Kinga bez większego entuzjazmu, jako że nigdy zbyt jej nie pasjonowały dziennikarsko-polityczne uwikłania kuzynki.

– No i jadę spędzić weekend z tobą i z twoim bratem. Muszę odpocząć od Warszawki.

– Sama widzisz – skomentowała Kinga z niejaką satysfakcją. – Mówiłam ci, że ta cała polityka to brudna sprawa i że nie ma co się w to łądować. Nie jestem też przekonana, że to najlepsze zajęcie dla kobiety. Zajęłabyś się lepiej swoim życiem osobistym. Co się stało z tym twoim kolegą, Pawłem? Wydawało mi się, że w pewnym momencie był bardzo zainteresowany... Czemu tak nagle zniknął?

– Taa... – wydeła wargi Joanna. – Zainteresowany to on był chyba głównie pogłębieniem swego narodowo-katolickiego image'u. Gdzieś tam biedaczyna uroił sobie, że stanowi odpowiednią kandydatkę na żonę. Zmienił zdanie, jak zaproponowałam wspólne wyjście na koncert zespołu psychodelicznego. Tak więc szczęśliwie uratowałam go przed popełnieniem życiowego błędu.

– No nie wiem, czy słusznie postąpiłaś – odparła Kinga, jakby lekko zgorszona. – Z pewnością Paweł miał wiele zalet, był kimś, na kim można się oprzeć...

– Cóż – uśmiechnęła się szelmowsko Joanna. – Jak chcesz, mogę ci dać telefon do niego. Może jeszcze zdążysz się załapać.

– Ale ja wiem – ciągnęła niezrażona Kinga, udając, że nie dosłyszała ostatniego zdania. – Czekasz na jakiegoś rycerza, księcia z bajki. Którym na dodatek chciałabyś rządzić. Nie wiem, jak to się ma do twojego rzekomego przywiązania do tradycyjnych wartości – dodała oskarżycielsko. Od jakiegoś czasu, po cyklicznych romansach z Raja Yogą, Świadcami Jehowy oraz Hare Kryszną, Kinga przeżywała gwałtowny powrót do rodzimej religii i konsekwentnie starała się być jak najbardziej ortodoksyjna.

Joanna parsknęła śmiechem.

– To nie ma nic wspólnego z tradycyjnymi wartościami. Których wyznawanie nie polega zresztą na biadoleniu o nich przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. A już zwłaszcza faceci epatujący nimi na każdej randce nudzą mnie śmiertelnie.

Kinga wciągnęła powietrze i zamilkła, urażona. Joanna poczuła umiarkowane wyrzuty sumienia – wiele rozmów z kuzynką kończyło się w podobny sposób. Żeby nieco ułagodzić Kingę, zmieniła „trójkę” na ulubioną (od niedawna) stację kuzynki. Przez chwilę wsłuchiwała się w natchniony głos spikera, kontemplując ogrom swego poświęcenia, po czym dla odwrócenia uwagi skoncentrowała się na tym, co działo się na szosie.

Jeszcze bardziej zwolniła. Oczywiście, wbrew komentarzom Kingi, zawsze jeździła bezpiecznie, ale teraz była zmęczona i rozdrażniona. Co gorsza, piętnastoletni wóz najwyraźniej również przejął się jej nastrojem.

Chciałaś mieć alfa romeo, to trzeba było, kurde, wybrać inną strategię życiową. Sama jesteś sobie winna, pomyślała melancholijnie, patrząc, jak samochód jej marzeń i snów – czerwona gulletta – wyprzedza seicento i znika za kolejnym zakrętem.

– Pamiętaj, żebym zatankowała na następnej stacji – powiedziała na głos, bardziej dla przypomnienia samej sobie niż do kuzynki.

Wjechały do lasu. Dzień był upalny, ale wpadający przez uchylone szyby wiatr przyjemnie orzeźwiał. Kinga słuchała radia, Joanna spoglądała na szosę.

Nagle poczuła czyjąś obecność. Choć w polu widzenia na pozór nic się nie zmieniło - droga i drzewa pozostały tą samą drogą i tymi samymi drzewami, to jednak gdzieś w głębi, jak gdyby w jakiejś innej, równoległej przestrzeni, zamajaczyły zarysy kształtów.

– Tam! – Usłyszała cichy okrzyk Kingi. Podążyła śladem jej spojrzenia, lecz znów dojrzała tylko



niewyraźne kontury, bardziej zresztą w myślach niż w rozgrzanym powietrzu nad asfaltem.

– On się zbliża! – zawołała kuzynka tonem, którego Joanna nie słyszała u niej od czasu, gdy tamta doznała objawienia podczas medytacji transcendentalnej.

Na wszelki wypadek nacisnęła hamulec – cokolwiek miało się wydarzyć, nie chciała, by odbywało się podczas jazdy. Poczula, jak przeszywa ją prąd. Tajemnicze kontury rozjarzyły się i zgasły, i przez moment przestała widzieć cokolwiek. Potem wydało jej się, że słyszy narastający, dudniący hałas.

Przed oczyma wyobraźni – ale tylko tam – stanął jej dziwny, czteroramienny kształt, wirujący ponad maską samochodu. Czula, jak dotyka jej czyjeś spojrzenie - nie było to już neutralne wrażenie obecności, tak jak jeszcze przed chwilą, lecz spojrzenie wroga, nieosobowa agresja. Kątem oka spostrzegła, że Kinga drży, skulona na swoim fotelu.

Zacisnęła mocno powieki, ale to niczego nie zmieniło – coś nadal wgrzyzało się w jej duszę. Teraz z kolei poczuła irytację – jej racjonalny umysł zbuntował się przeciwko całemu zajściu.

– No, spadaj – wycodziła przez zęby. Przemogła lęk, uniosła głowę i wyszła naprzeciw atakującemu ją spojrzeniu. Zupełnie nieoczekiwanie, tamto cofnęło się i rozmyło, zniknęło gdzieś w oddali, przedtem jednak dokładnie zapamiętując każdy szczegół jej twarzy, każdy splot myśli, jakby pragnąc wchłonąć całą jej przeszłość, teraźniejszość i przyszłość.

Drżącą ręką przekręciła kluczyk w stacyjce.

– Czulaś to? – wyszeptała Kinga.

– Złudzenie – mruknęła bez przekonania.

– Więc też to czulaś. To było coś złego. Bardzo złego. Ale przedtem... Widziałaś te obrazy?

– Nic nie widziałam – odburknęła zirytowana.

– Rozmazane ludzkie sylwetki – ciągnęła kuzynka. – Jedna z nich ruszyła w moją stronę. Bił od niej blask. Podeszła bliżej i zobaczyłam, że to po prostu młody mężczyzna, tylko tak jakoś dziwacznie ubrany. Patrzył prosto na mnie i uśmiechał się... Chciałam wyjść mu naprzeciw. Ale wtedy nagle krzyknął przestraszony, i wszystko zniknęło. A jeszcze później pojawił się ten wirujący kształt. Myślę, że najpierw zobaczyłam anioła, a następnie złego ducha...

– To niemożliwe - stwierdziła ponuro Joanna. – Ja niczego nie widziałam.

– Ale przecież też coś czulaś?

Joanna nie odpowiedziała, koncentrując się na prowadzeniu.

Resztę drogi przejechały w milczeniu.

Silnik wysiadł dwieście metrów przed domem kuzynostwa i samochód trzeba było podholować.

\* \* \*

Gdyby myśli miały kształt, ta przypominałaby czteroramienną martwą rozgwiazdę, wirującą powoli wokół własnej osi. Gdyby potrafiły wydawać dźwięk, ta napełniałaby powietrze głuchym, modulowanym warkotem. Gdyby zajmowały miejsce, ta przez chwilę tkwiłaby zawieszona wysoko ponad światem.

Gdyby to, co działo się obok rzeczywistości zdarzeń i kształtów, spróbować opisać właśnie poprzez zdarzenia i kształty, opis taki mógłby wyglądać następująco: przez długi, długi moment czteroramienny kształt wisiał ponad Ziemią, sondując ludzkie serca i linie wydarzeń, cofając się w przeszłość i wybiegając do przodu, starając się zapamiętać ujrane w migawkach twarzy. Potem oderwały się od niego cztery cienie i zaczęły swobodnie opadać ku powierzchni planety. On sam zaś wzniósł się jeszcze wyżej, do sfer, gdzie żaden opis nie miałby już sensu, i przyczał się, czekając na właściwy moment, aby powrócić.

\* \* \*

Pierwszy z mężczyzn siedział nad butelką wódki. Był bardzo młody i higienicznie ostrzyżony na łyso. Miał na sobie spodnie od dresu i podkoszulek, który odsłaniał imponującą muskulaturę ramion. Chłopak nazywał się Janek Ciemniaga, ale kumple przez szacunek dla jego umiejętności kickbokserskich uhonorowali go ksywą Kopyto.

Kopyto otępiąłem wzrokiem wpatrywał się w szafkę RTV, gdzie znajdował się milczący telewizor i odtwarzacz Sony. Usłyszał szuranie kroków w przedpokoju – matka stanęła pod drzwiami i rzuciła swoje zwykłe "janekcotytamrobisz". Potem zajrzała, by sprawdzić, czy jest w środku, mruknęła coś i wyszła, zdziwiona jego spokojnym zachowaniem. Dobrze, kurwa, że chociaż nie truła mu już o tej pierdolonej maturze. Przecież nawet w telewizji mówili, że prawie wszyscy w liceach profilowanych oblali, więc co się go czepia?

Nieważne. Miał teraz co innego na głowie. Był zaniepokojony. Szczerze powiedziałwszy, to nawet się trochę bał. Wczoraj, gdy dorwali w parku tamtego starucha, wszystko było w porządku, ale dziś... Nie, nie byli pijani, najbardziej właśnie kręciło ich, że zrobili to zupełnie na trzeźwo. Potem nawet nie zabrali mu portfela – taką mieli fantazję... Kiedy wrócił do domu, czuł się naprawdę świetnie. Tamten przeżył, choć wylądował w szpitalu. Niby nie było czym się przejmować, ale... Ani Pajo, ani Ściema nie przyszli dzisiaj z obiecany pornołem.

Bał się. Bał się dzwonek do drzwi i telefonu, ale też i czegoś jeszcze. Siedział skulony w fotelu, spoglądając na pociemniały ekran.

Nagle coś się stało. Nie, stało się dużo wcześniej, ale on zauważył to dopiero teraz. Cały czas się zmieniało, w oszalałym tempie, jak na filmie z Van Dammem.

To coś, co się zmieniało, zabierało jego strach, więc wyszedł temu naprzeciw. „Wpuść mnie”, powiedziało, „a już nigdy nie będziesz się bał. Będziesz robił co chcesz i nikt ci nie podskoczy”. „Dobra”, odparł, bo co niby miał powiedzieć. Może w pierwszej chwili poczuł się trochę nieswojo, ale zaraz potem ten Kopyto, który mógł się czuć nieswojo, pozostał już tylko na powierzchni, a w głębi wygodnie usadowił się ten drugi, nowy, w pewnym sensie nadal oczywiście będący tym starym, ale jednocześnie także i czymś więcej.

O tak, wiele się zmieniło. Czuł siłę. Te wszystkie lata w szkole... Bez sensu. Teraz po raz pierwszy naprawdę wiedział, co ma robić. Wierzył, że cokolwiek zrobi, pozostanie bezkarny. Tak obiecało mu to coś więcej. Jego umysł był zbyt zmęczony, by widzieć wszystko wyraźnie, ale wiedział już, że czeka go ważna robota.

I chuj z maturą.

\* \* \*

Drugi mężczyzna nerwowo kręcił się po pokoju hotelowym. Kilka lat starszy, elegancki, z włosami obficie pokrytymi żelam, stanowił całkowite wizualne przeciwieństwo Kopyta. Nazywał się Maciej Okoń. On również był w rozterce. Jego problemy były jednak bardziej skomplikowanej, finansowo-profesjonalnej natury, a dotyczyły dalszej kariery w charakterze regionalnego przedstawiciela międzynarodowego koncernu tytoniowego.

Wszystko przez tę nieszczęsną defraudację! Jeżeli tak to w ogóle nazwać. Po prostu pożyczył sobie trochę pieniędzy firmy. Cholera, nigdy wcześniej nie trzymał w rękach takiej kasy, no i nic dziwnego, że troszkę go poniosło. Koncern też tu zawinił – mogli mu przecież dać lepszą brykę. Renault kangoo! Aż wstyd zaparkować przed klubem takim furakiem! O wyrywaniu lasek już nie wspominając. No, dobra, bez paniki. Jakoś z tego wybrnie, byle tylko poprawić bieżące wyniki. Namówić cholernego Leskiego, żeby wreszcie podpisał kontrakt.

Co, niestety, okazało się wcale nie takie proste. Zupełnie jakby młody biznesmen wyczuł, że Okoniowi się spieszy i celowo grał na zwłokę. Z wczorajszego spotkania znowu nic nie wyszło. Dlatego właśnie Okoń, zamiast balować w stolicy, przyjechał za Leskim aż do tej dziury. Po trzech rozmowach telefonicznych tamten łaskawie obiecał w końcu, że następnego dnia znajdzie dla niego trochę czasu. Może jeszcze uda się wszystko zatuszować, zanim kapną się w centrali.

Znów stanął przed lustrem. Zdziwiony zmarszczył brwi. Nieoczekiwane zdenerwowanie ustąpiło. Nie był typem marzyciela, z całą pewnością też nigdy nie zdarzyło mu się snić na jawie, ale teraz oto niespodziewanie przeżył coś w rodzaju wizji. Stał w osłupieniu, wpatrując się w pojawiające się w powietrzu obrazy. Może przez moment od niechcenia kontemplował fakt, że jest w tym coś dziwnego, może jego praktyczny umysł z początku podpowiadał mu, że takie wizje zazwyczaj są domeną jedynie

poetów i narkomanów, lecz praktyczność zawsze pierwsza pierzcha w zetknięciu z pokusą, tak więc postąpił krok do przodu, potem zaś kolejny i jeszcze jeden...

Stał w samym środku wirujących obrazów, obietnic bogactwa i potęgi. Jak urzeczony wchłaniał upojną szybkość sportowych bryk, klubowy zgiełk i słodką woń perfum najdroższych dziwek świata. Tak, oczywiście, wciąż jeszcze był w stanie się wycofać, ale dlaczego miałby to robić? W jednej krótkiej chwili dostał wszystko, o czym kiedykolwiek mógłby zamarzyć, więcej niż mogła mu dać rzeczywistość, w jakiej od dawna żył jego umysł. Więc pozostał pośród światła i zgiełku.

Ten, który stał teraz przed lustrem, a który w jakiś sposób nadal był mężczyzną z pokoju hotelowego, uśmiechnął się z zadowoleniem. W przeciwieństwie do Kopyta, on ogarniał swym umysłem prawie wszystko. Czuł, że nie jest sam. Zdawał sobie sprawę z istnienia swego partnera w ciele Kopyta i oczekiwał pojawienia się kolejnych sojuszników. Wiedział też, że to, czemu służył, choć w stanie uśpienia, nadal wisi nad światem, leniwie oceniając jego poczynania. Pieczołowicie powtarzał w myśli ciągi wydarzeń, które mu przekazano, i starał się je przełożyć na język działań, jakie będzie musiał podjąć, by zadowolić tego, przez którego został wybrany.

\* \* \*

Trzeci mężczyzna nazywał się Jacek Roszmał i znajdował się w swojej pracowni. Był znacznie starszy od dwóch poprzednich i raczej dziwacznie ubrany. Miał na sobie żółtą, powłóczystą szatę, zakupioną w sklepie indyjskim w Warszawie, białe luźne spodnie od kimona, naszyjnik z wielkich czerwonych koralików oraz kirgiski kalpak, który pasował do całości jak pięść do nosa. Dla znawcy tematu nie wyglądałoby to zbyt przekonująco, ale jak na prowincjonalne gusta jego klientów w zupełności wystarczało.

Siedział w kucki nad otwartą księgą, pośród kręgu niesamowitych rysunków, krztusząc się kadzidlany dymem. On również nie był w najlepszym nastroju. Przez wiele lat zgłębiał tajniki czarnej magii, czytał zakazane, z trudem zdobyte księgi, uczestniczył w ekskluzywnych seansach i spotkaniach. Raz zafundował sobie nawet podróż na Jamajkę i do Brazylii za pieniądze, które zbierał ze swej praktyki, by poznać sekrety czarowników voodoo i spirytystów.

Niestety, choć był świadkiem licznych manifestacji nadnaturalnej potęgi i miał zaszczyt spotkać wielu prawdziwych mistrzów, jemu samemu nie dane było osiągnąć nic, co zaspokoiłoby ciągle rosnące ambicje.

Teraz siedział więc samotnie na specjalnie przystosowanym do tajemnych ceremonii strychu, wdychając dym, i z niechęcią myślał o kolejnym dniu spotkań ze swymi naiwnymi klientami. Wtem coś się zmieniło. Poczł drgnięcie - niewidzialne uderzenie mocy. Potem następne, o wiele silniejsze. Silniejsze niż wszystkie te, których doznawał w obecności najslawniejszych szamanów. Przed oczami wyobraźni zamajaczył mu niewyraźny, ciemny, pulsujący mocą kształt. Z radością rzucił się w jego kierunku, chcąc przejąć jego siłę.

Wszystko na pozór znów wydawało się takie samo. Świece zgasły. Starszy mężczyzna siedział na pogrążonym w ciemności strychu, lecz teraz już widział wszystko wyraźnie. Ta część, która ciągle była dawnym Roszmałem, z trudem hamowała pełen satysfakcji chichot. Natomiast ta, która przybyła z zewnątrz, czujnie rozglądała się wokół, pragnąc przewidzieć dalszy rozwój wypadków. Po krótkiej chwili obie zlały się ze sobą w niemal doskonałą jedność.

Zwyciężył, pozbył się ludzkich ograniczeń. Został wybrany, choć jednocześnie sam przecież był tym, który wisząc ponad światem wybierał. Teraz, kiedy był jednością, znaczenie miała już tylko posiadana przez niego moc - o wiele potężniejsza od tej, jaką szczyli się czarownicy voodoo, szamani i spirytyści. Wiedział, że jego część - ciemne, pulsujące w sercu ziarno - przybyła z zewnątrz, spoza świata, w którym do tej pory przebywało jego ciało. Był z tego dumny. Przeczłwał, że wkrótce będzie musiał wykonać pewne zadanie, ale teraz pragnął jedynie napawać się swoją nową potęgą.

\* \* \*

Ostatni, czwarty z mężczyzn, siedział na werandzie podmiejskiego domku, lekko kołysząc się w fotelu na biegunach, ze szklanką piwa w ręce. Obok leżały trzy puste butelki. Zawsze mówił, że ma zbyt słabą głowę, by zostać alkoholikiem. W przypadku lekkiej chandry korzystał więc jedynie z piwa. Teoretycznie miał mniejsze od trzech pozostałych mężczyzn powody do życiowego niezadowolenia. Co ciekawe, większość znajomych uważała go za człowieka sukcesu i nigdy nie przypisałyby mu skłonności do melancholii. Z pewnością nie posądziłoby go o nią ludzie, którzy znali go na płaszczyźnie zawodowej. Następnego dnia miał jednak obchodzić swoje trzydzieste urodziny, a przy tego typu okazjach zazwyczaj czuł się fatalnie.

Właśnie zapadła noc, a on siedział na ganku i umiarkowanie zaprawiał się alkoholem, użalając nad sobą i starając zapełnić swoją wyobraźnię odpowiednią ilością halucynacji, które odegnałyby czającą się zewsząd pustkę. Od czasu do czasu wstawał, przeciągał się i robił kilka leniwych ruchów, by przypadkiem nie zapaść w drzemkę. Bał się, że kiedy zaśnie, znowu dopadną go jakieś koszmary, w szczególności zaś stały punkt programu, czyli nieśmiertelna chata na środku leśnej polany. Nie, tym razem od snów zdecydowanie wołał alkoholowe halucynacje na jawie.

Wtem coś się zmieniło – jeden z tworów wyobraźni przesłonił pozostałe. Mężczyzna skrzywił się – prawdę powiedziawszy wołałby, żeby w jego umyśle pojawiło się coś na kształt eterycznej blondynki, nie zaś pulsująca, ciemna rzecz o nieokreślonych konturach.

W następnej chwili zamrugał i zerwał się z miejsca, upuszczając butelkę na podłogę werandy. Ciemna rzecz stawała się coraz bardziej realna, wyciągała szpony ku jego sercu. W uszach czuł nieznośne i jednocześnie rozkoszne pulsowanie. „Chodź do mnie”, mówił kształt, „a już nigdy nie zaznasz pustki”.

Mężczyzna znał smak pokus, przez całe swoje życie szukał ich, walczył z nimi, ulegał im bądź też pokonywał z uporem godnym lepszej sprawy, teraz jednak zrozumiał, że ta pokusa jest silniejsza od wszystkich innych.

Ciemne ziarno przesłoniło już niemal cały świat. „Spójrz”, szeptało, „tylko ja jestem realne, wybierz mnie. Oprócz mnie jest tylko pustka, tylko niepewność, a ty przecież tak się jej boisz... Ciebie też tak naprawdę wcale nie ma, czemu więc miałoby ci zależeć?”

Mężczyzna zamachał gwałtownie rękami, zerwał się z fotela i skoczył w ciemność ogrodu. Jedną część jego umysłu chciała odpowiedzieć na wezwanie i w ten sposób uchronić się przed nicością, ale druga, nagle przebudzona z letargu, uporczywie pragnęła samotności, czystej i niezmaconej, niezakłóconej ani przez ludzi, ani przez pulsujące ciemne kształty.

Ale tamto było wszędzie, opanowało już niemal każdy zakamarek jego serca, wysysało oddech i pochłaniało wzrok. Przyspieszył, wciąż jeszcze słuchając głosu rozkazującej mu pędzić przed siebie samotności, licząc na to, że podmuch wiatru strząśnie intruza z serca.

Minął sąsiedni dom i wypadł na pole, kierując się w stronę czarnej ściany lasu. Alkohol powoli wyparowywał z umysłu, ale jednocześnie zaczynało go ogarniać zmęczenie. Z westchnieniem ulgi padł na trawę, nie mając już siły, by walczyć. Obły kształt zapulsował z radością, przeczuwając zbliżające się zwycięstwo.

Wzrok mężczyzny padł na gwiazdy. Zimnym, bezlitosnym światłem dumnie dawały świadectwo swojej samotności. Ciemne ziarno jakby zawahało się, cofnęło macki, sprawdzając coś z niepokojem. Przypominało w tym momencie wojskowy patrol, który w pogoni za bezbronnym uciekinierem nieoczekiwanie stanął twarzą w twarz z czołem potężnej armii, której zupełnie nie spodziewał się zastać akurat w tym miejscu. Mężczyzna ze zdumieniem zdał sobie sprawę, że wyczuwa emitowaną przez tamto coś niepewność. Ponownie spojrzął w górę – nie na gwiazdy, lecz jeszcze głębiej, w czarną otchłań.

Nagle wydało mu się, że spada, a wraz z nim spada ciemne ziarno. Czuł jego narastającą panikę – usiłowało uciec. Lecz nie mogło, teraz tak samo bezradne jak on. Lecieli razem przez wypełnioną okruchami zimnej materii przestrzeń, z daleka mijając planety i gwiazdy. Było coraz zimniej – tak zimno, jak może być tylko w kosmicznej próżni. Zachłysnął się chłodem, pozwalając, by krew zamarzała mu w żyłach. Ciemne ziarno zaskrzeczało gwałtownie, odrywane od jego serca jakąś potężną siłą. Potem, wrzeszcząc w agonii, rozpadło się na miliony okruchów i przepadło. Czern

roześmiała się z triumfem.

Szybował wprost na wędrujący poprzez czarne przestworza kawałek lodu. A może to on sam był kawałkiem lodu, od wieków pogrążonym we śnie? Miał wrażenie, że w przezroczystej tafli niczym w lustrze dostrzega czyjąś twarz, twarz tak bardzo podobną do...

Ocknął się, lekko zziębnięty, i niemrawo wstał z pokrytej rosą trawy. Musiałem chyba zasnąć, pomyślał. Popatrzył na rozgwieżdżone niebo – wyglądało całkiem normalnie i wcale nie zamierzało go nigdzie wciągać. Od wschodu jakby zaczęło się zasnuwać. Wokół nie czuł również ani śladu pulsującego ziarna – sama myśl o czymś takim wydała mu się w tej chwili absurdałna.

Sam widzisz, kretynie, skarcił się z niesmakiem. Inni, żeby zaznać halucynacji, potrzebują przynajmniej trawki, a tobie wystarczy trzy piwka.

Westchnął i apatycznie powlókł się do domu.